

Trybuna

WARSZAWA

DZ. Nr

71

24/25-03-2001

Trzeba przyznać, że Krystian Lupa wychował sobie publiczność. A nawet więcej – wykształcił grupę wyznawców, którzy oglądają jego spektakle w zachwyceniu, zdolni wysiedzieć nie tylko dwa wieczory z rzędu po trzy godziny, ale i trzykroć tyle, wciąż głodni i głodni dzieł Mistrza.

To nawet nie są spektakle, to jakieś rytuały wtajemniczonych, łowiących uchem i okiem najmniej zauważalne niuanse, reagujących spontanicznym śmiechem lub smutkiem na każdy gest, każdą kwestię, każdą sytuację. Niejeden artysta teatru może tylko Lupie pozazdrościć takiej publiczności.

Taki stosunek (wyznawczy) pełni się również wśród recenzentów, którzy pisząc na kolanach nie dostrzegają oczywistych wad dzieła, a jedynie wyolbrzymiają zalety, do których bez wątplenia należy szukanie psychologicznego umotywowania postaci, muzyczność rytmu scenicznego, jednorodność plastyczna, prowokująca obsesyjność.

Dotyczy to również najnowszego przedstawienia, „Wymazywania” wg Bernharda w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Finałową scenę pierwszej części – przygotowania do zbiorowej fotografii młodej pary i weselnym gości – któryś z recenzentów nazwał bodaj arcydziełem, a rolę fotografa (w rzeczy samej udaną) wielką kreacją. W takich opiniach zatracą się realna proporcja zasług. Ani to bowiem wynalazek Lupy (scen „fotograficznych” w filmach amerykańskich można by się doliczyć pewnie sto albo więcej), ani genialne odkrycie aktorów po prostu sprawnie realizujących ten przydługi żart sceniczny.

Nietrudno dociec, dlaczego Krystian Lupa sięgnął po „Wymazywanie”. Od lat pracuje z tekstami Bernharda, odnajdując w nich bli-

TEATR

TOMASZ MIŁKOWSKI

Dwa wieczory z Lupą



Fot. Damian Ruciński

Malgorzata Niemirska i Piotr Skiba

skie sobie tony, emocje, a przede wszystkim idee. Miłość i nienawiść do własnego kraju, niezgoda na świat, jaki jest, namiętna chęć zachowania swego „ja” to tylko niektóre z motywów prozy i dramaturgii tego niezwykłego pisarza austriackiego. A jednak w tym spektaklu siła słowa Bernharda najwyraźniej słabnie na scenie. Dzieje się tak za sprawą nieumiejętnej selekcji. Scenarzysta Lupa najwyraźniej nie potrafi rozstać się z żadnym ulubionym zdaniem Bernharda, nie potrafi z niczego zrezygnować, nie potrafi odróżnić rozkoszy lektury od tortury spektaklu.

Prowadzi to w rezultacie do zniweczenia dramatyczności, przekształca widowisko w logoreję głównego bohatera, który nie może skończyć raz zaczętego monologu. Utwór Bernharda można by streścić w kilku zdaniach: „Mieszkający w Rzymie Austriak Franz Josef

Murau, intelektualista, dowiaduje się o śmierci rodziców i brata. Raz jeszcze rozlicza się z widmami przeszłości, hipokryzją rodziny, ich cichym poparciem dla faszystów, duszną atmosferą rodzinnego domu, który niegdyś porzucił, ale który nadal go osacza. Przybywa do rodzinnego gniazda, aby skończyć z przeszłością raz na zawsze”.

Prawdziwego materiału scenicznego jest tu niewiele. To jest takie go, który przekłada się nie tylko na ucho, ale i na oko, który „popycha” akcję wewnętrzną, czyli proces wymazywania z pamięci tego, co drażni jak cierni. Jest w tym przedstawieniu materiału na półtorej godziny, może dwie. Lupa jednak jako scenarzysta czyni cnotę ze swego niezdecydowania i opowiada o wszystkim o wiele za długo, co musi w rezultacie prowadzić do znużenia publiczności (wyjąwszy wyznawców!). Scenariusz zresztą

najwyraźniej rozpada się – druga część poza dwoma scenami (rodzinny obiad i wyznania kardynała) i jedną sytuacją (rodzice bohatera w domu dzieciństwa) nie wnosi do opowieści nic nowego. Co więcej: w drugiej części znika współnarrator, a ściślej słuchacz, poniekąd przedstawiciel widzów, czyli uczeń Gambetti, przed którym najpierw się zasłania, a potem odsłania Murau.

Porażka „Wymazywania” dla niewyznawcy polega nie tylko na wadach scenariusza, ale także błędnej decyzji obsadowej. Piotr Skiba nie ma tak magnetycznej osobowości, aby skupiać na sobie uwagę przez tyle godzin. Jego skłonność do sztuczek aktorskich rodem z kiepskiej farsy, ubóstwo środków, a nawet wady dykcyjne – wszystko to uwydatnia ogrom monologów. Rola pęka w szwach, nie ma w sobie żadnej tajemnicy, już po dziesięciu minutach wszystko o postaci wiadomo. Wygląda to na potwornych rozmiarów etiudę aktorską. Nie wiem, czy jest taki aktor, który mógłby sprostać takiemu zadaniu. Bo jeśli ktośkolwiek mógłby uratować „Wymazywanie” przed nudą, to jedynie aktor obdarzony tak wielkim talentem, że tchnąłby życie w ten sprawnie nakręcony mechanizm, ale pozbawiony ducha, w którym od czasu do czasu pojawiają się prawdziwe teatralne skarby.

Do takich skarbów zaliczam wspaniały monolog Marka Walczewskiego, przypominający jego osiągnięcia ze złotego okresu, kiedy wcielał się w rolę Blooma w adaptacji „Ulissesa” Jerzego Grzegorzewskiego w warszawskim teatrze Ate-neum. Z aktorskich pereł tego spektaklu (Malgorzata Niemirska, Jolanta Fraszyńska) można by zrobić naprawdę dobry spektakl, pod warunkiem jednak, że Lupa użyłby reżyzerskich nożyczek.

„Wymazywanie” wg Thomasa Bernharda, scenariusz, reżyseria i scenografia Krystian Lupa, muzyka Jacek Ostaszewski, Teatr Dramatyczny w Warszawie. Premiera – marzec 2001